

ZOFIA KOWNACKA

ur. 1925; Wołyń

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, życie codzienne, poród, warunki bytowe, dzieci

Opieka nad niemowlęciem w PRL

Szpital na Staszica. To był Wielki Czwartek i tłum kobiet. Zostawiono mnie w łazience i nikt się mną nie interesował – no to zaczęłam krzyczeć, chociaż specjalnie nie musiałam, ale chciałam, żeby ktoś przyszedł, coś ze mną zrobił. Było okropne przepełnienie, nie było bielizny czystej. Potem z domu coś mi mąż przynosił, ubierał się w fartuch i tam jakoś wchodził. Koleżanka jego z akademika, która studiowała chyba mikrobiologię i tam pracowała, to jakoś go tam mogła przemycić, bo nie wolno było odwiedzać i chodzić. I długo się leżało, 10 dni. A potem na to czwarte piętro trzeba było wchodzić. To mnie chciał kuzyn i mąż wnieść. Ja mówię: „Też! Wejdę.” Weszłam i od razu zemdlałam.

Pieluchy robiło się ze starych prześcieradeł, bo to już było takie płótno sprane, miękkie. Była tetra tak zwana, ale to też był luksus, nie zawsze można było kupić. Nie było pampersów, jak teraz wygody. I jeszcze bez pralki i w ciasnym mieszkanku suszyć to. Tam na Niecałej był strych, ale była cała długa procedura, gdzie się tego klucza szuka. Tak że w tym jednym pokoiku suszyło się pieluszki. I jakoś się żyło.

Zupki teraz w słoiczkach są, a przedtem kupowało się cielęcinkę, jarzynki, gotowało się i przez sitko się przecierało – dawało się dzieciakowi, a dzieciak pluł i nie chciał jeść. Jabłuszko, marchewkę na takiej szklanej tarczce się ucierało. Soczek to też marcheweczkę, jabłuszko na tej tarczce się ucierało, a potem przez gazę się wyciskało. Ale soczki to raczej piły, ale zupki... Tam, gdzie mieszkałam, była kuchnia, ale to się dymiło, [więc] rzadko się paliło, tylko na kuchence elektrycznej [się gotowało]. Jak się zapomniało, to zupka się spaliła i trzeba było nową gotować, a potem bachor nie chciał jeść.

Było mleko w proszku, w aptekach się kupowało. Moje córki dość długo sama karmiłam, tą starszą to do roku. A byłam bardzo szczupła. Poszłam do takiej akademickiej lekarki, bardzo sympatyczna. Mąż jej, Kozak, był też lekarzem akademickim. I ona mówi: „Co? Karmi Pani dziecko? W tej chwili odstawić! Dzieciak

ma już rok, to wstyd tak długo karmić. Jak Pani wygląda?” Nakrzyczała na mnie. Na Górnej ona miała gabinet, a ten doktor Kozak chyba na Radziwiłowskiej.

Wózki dziecinne to też był obraz nędzy i rozpaczy. Taka karetka, budka z jakiejś dykty, to się naciągało, to się zacinało, kółka spadały. Nieraz na dwóch albo i trzech kółkach jechałam, bo to spadło, to spadło, to trudno założyć, a tu dziecko wrzeszczy. A że było bardzo wrzaskliwe, to z czwartego piętra słyszeć było jej głosik vis-à-vis w tym pogotowiu, bo tam nieraz lekarze, sanitariusze siedzieli, czekali na jakiś wyjazd na schodkach. Jak dziecko się darło, patrzyli do góry, czy mama morduje dzieciaka. Teraz mogłaby być kara.

Były sklepy, gdzie to paskudztwo [wózki] było. To było okropne. Jako ślubny prezent od męża kolegów (ich było takich sześciu bardzo blisko zaprzyjaźnionych) dostaliśmy komplet kryształów: talerzyki duże i talerz. A potem jak ja jeździłam tym wózkiem, to mówiłam do nich: „Nie lepiej jak byście nam na prezent ślubny wózek kupili?” Nic się nie spodziewaliśmy, ale oni mówią: „No jak to, co by kto pomyślał, że wózek.” Ja mówię: „To nieważne, co by kto myślał, tylko ja bym miała wygodniejszy może do jeżdżenia.” A jeszcze na czwarte piętro trzeba było wózek wnieść i znieść, żeby z dzieckiem wyjechać.

Data i miejsce nagrania	2012-06-20, Lublin
Rozmawiał/a	Łukasz Kijek
Redakcja	Aleksandra Bańkowska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"